

wzrokiem, pełnym obawy, mierzyli obcych i nieznanym ludzi, którzy wnieśli z sobą do ich ubogiego i cichego mieszkania rozpacz i zmartwienie.

Janek nic nie wie, lecz odczuwa, że dzieje się w tej chwili coś strasznego i spogląda naprzemian na Żarskiego, to na ślepa, starając się zrozumieć, co się stało. Marcin, pogrążony w zadumie, nie widzi oczu malca, tak wymowne zadające mu pytania. Co zaś do staruszki, ta, po nagłym wysiłku, na jaki się zdobyła parę minut temu, wydaje się obecnie zupełnie wyczerpana. Siedzi jak martwa na krześle, jakby utraciła przytomność i wszelkie czucie. Sądziłby można chwilami, że życie uciekło z jej ciała. Wszystkie siły ducha stargnęła w niej boleść niezmierna. Wie, że dziecięcia swego ocalić nie zdoła, jęczy więc jeno od czasu do czasu złamanym głosem:

— O, mój synu!... mój synu!...

Innych wyrazów nie jest w mocy wymówić, bo myśl rozstrojona już ich w zdania nie wiąże. Niekiedy tylko łkanie okropne wydiera się z jej piersi... Wtem łkaniu tętni serce matki, torturowane okropną męczarnią.

Marcin ciągle nieruchomy, otoczony trojgiem dzieci, pojmuje ogrom rozpacz, rozdzierającej duszę ślepej, więc z sercem ściśnionem pyta się siebie:

— Co się stanie z dziećmi, co się stanie z biedną Klarą, jeśli matka postrada zmysły?

Zapanowało milczenie.

Wobec człowieka, przywalonego ciężkiem brzemieniem smutku, urzędnik policyjny i ajenci stoją zakłopotani. Obowiązek jednak nakazuje zakończyć przykrą scenę. Zatem pomocnik komisarza zwraca się do Pipersteina i Maślaka. Dostrzegł to Marcin.

— O chwilę... o chwilę tylko cierpliwości proszę. Pozostawcie mi jeszcze pięć minut swobody, abym dzieci do serca przycisnął i pożegnał ich matkę... moją chorą żonę. Nie mogę odejść nie pożegnawszy się wprzód... a pojmujecie panowie, jak ostrożnie zachować się muszę, żeby nie pogorszyć jej groźnego stanu zdrowia.

Zastępca komisarza skinął głową na znak, że zezwala.

Marcin wszedł do sypialni Klary.

Sina i wynędzniała jej twarzy, tonąca w półcieniu dnia jesienno, wynurzała się niewyraźnymi zarysami z białego tła poduszek. Wyciągnięte na kołdrze niemal przezroczyste ręce, przestraszały nadzwyczajną chudością. Nie słyszała wejścia męża i nie widziała, gdy się zbliżył do łóżka, patrząc na nią, iskrzącym się wzrokiem.

Żarski pochylił się nad żoną i usta jego musnęły blade czoło Klary. Ona drgnęła i spojrzała na ukochanego.

— Nie słyszałaś, żem wszedł? — zapytał Marcin.

— Spałam — odpowiedziała — a śniły mi się dziwne rzeczy...

— O czymże śniłaś?

— O tobie. Widziałam cię oczami duszy... Byłeś bardzo smutny i bardzo nieszczęśliwy... Oczy moje musiały biedz za tobą daleko... bardzo daleko... do krainy wiecznych śniegów i lodu. U nóg twoich zakrwawionych brzęczały kajdany... ciężkie, żelazne kajdany. Och, ten sen... ten straszny sen, mój drogi! Gdybyś wiedział jak silne na mnie wywarł wrażenie. Otrzyj mi zimny pot z czoła... i połóż dłoń swoją na mojem sercu... Czy czujesz jak mocno bije?

On otarł czoło Klary ostrożnie i położył rękę na jej bijącym sercu. Potem ucałował twarz chorej gorąco, przeciągle — i ukląkł przy łóżku. Lica, pałające ogniem, zanurzył w pościeli, jakby chciał ukryć oczy od łez czerwone... Walczył z rozpaczą całą siłą woli.

Wtedy Klara podniosłszy się nieco i na łokciach wsparta, szepnęła słodkim głosem:

— Mój Marcinie najdroższy! zmartwiłeś się czemś bardzo, a przyczyny zmartwienia nie chcesz mi wyjawić... Chociaż staraliście się mówić cicho... z tamtąd, z jadalnego pokoju dołatywał mnie dźwięk głosów obcych i echo kroków mi nieznanymi. Są tam ludzie, których nigdy nie widziałam...

Czuje, że to oni, wyrządzili ci jakąś wielką przykrość... a może i krzywdę... że w dom przynieśli ze sobą nieszczęście...

— Mylisz się, Klaro...

— Czy naprawdę się mylę?

— Przysięgam ci, najmiłsza!

Klara zawsze wierzyła mężowi, teraz zaś więcej niż kiedykolwiek pragnęła mu wierzyć, więc głowa jej opadła na poduszki i oczy się przymknęły.

— Bądź zdrowa — rzekł Marcin, całując jej powieki. — Żegnam cię, mój skarbie!... Wyjeżdżam na dni kilka... w pilnym i ważnym interesie. Pozostaje przy tobie babcia, Sabinka, Zosia i mały Janek. Módl się z nimi i za nich codziennie... Modlitwy matek wysłuchane bywają zawsze!

— Modlitwy matek! — szepnęła Klara zdziwiona. — Czy to ty mówisz? ty... dotąd sceptyk i ateusz!... Wielkie jakieś nieszczęście musiało zmienić twoje przekonania...

On, raz jeszcze usta swoje do jej rąk przyci-



...rewolwer nabity. Jedna kula dla mnie, druga dla ciebie.

snął i bez odpowiedzi opuścił sypialnię. Wyszedł z niej zgarbiony, z głową pochyloną na piersi, chwiejnym krokiem. Czoło jego pokrywała czarna chmura troski. Ucałował każde dziecko po trzykroć i matkę przycisnął do łona, szepcząc jej do ucha prośbę jakąś, serdeczną, gorącą, wymowną... Poczem stanął przed pomocnikiem komisarza i rzekł niemal spokojnie:

— Jużem gotów do drogi... Jestem na pańskie rozkazy.

## VII.

W piętnaście dni po opowiedzianych tu wypadkach, o piątej po południu, wykwintna karetka — na koźle której siedział rosły stangret, murzyn, zręcznie wymijający powozy i dorożki — zatrzymała się przed jednym z domów, przy ulicy Senatorskiej. Z karety wysiadła młoda i piękna kobieta, czarno ubrana. Weszła przez bramę w podwórze, które znać musiała dobrze, bo śmiało i pewnie zwróciła kroki ku niskim drzwiom na lewo. Poczem wbiegła szybko na pierwsze piętro. Tu zadzwoniła, a po chwili stary służący rozwarł przed nią szeroko podwoje.

— Pan mecenas jeszcze nie wrócił — rzekł

klaniając się nisko — lecz przed wyjściem polecił mi, abym panią poprosił o łaskawe zaczekanie na niego w salonie.

Wskazał ręką drzwi naprzeciw.

Marcelina weszła do wskazanego pokoju, nie odpowiedziawszy lokajowi ani słówka.

Mieszkanie, w którym się znalazła, było niegdyś jej panińskim mieszkaniem. W niem pod opieką jednej z dalekich krewnych spędziła lat kilka przed ślubem. Kazimierz, który wiedział o tem, najał je przed kilku dniami i pospiesznie kazał umeblować, zawiadamiając ją równocześnie bilecikiem, że w lokalu, niegdyś należałym do niej, oczekiwać na nią będzie codziennie o zmroku. Nie chciał widywać się z ukochaną w pałacu, budzącym w jego umyśle przykre wspomnienia. Od śmierci hrabiego, unikał wszelkiego spotkania się z hrabiną, nie pragnął bowiem, aby plotkarska Warszawa zwróciła uwagę na jego miłość do pięknej wdowy.

Ojciec Kazimierza, Piotr Molski, sędzia śledczy, kilkakrotnie wzywał już Marcelinę do toczącego się śledztwa. Ani razu nie zmieszala się w jego obecności, chociaż badał ją podstępnie, surowo i ściśle. Rozumiała, że najłżejszy dowód wahania i niepewności zgubić ją może, więc przytomnie i rozważnie odpowiadała na wszystkie pytania, nie zdradzając głębokiego wzruszenia i obawy, ani brzmieniem głosu, ani wyrazem twarzy. Nikt z patrzących się na jej spokój, pełen godności i taktu, nie domyśliłby się pewnie, że ma przed sobą bohaterkę ohydno dramatu.

Teraz, marząca i zamyślona, zdjęła z głowy kapelusz, zrzuciła z siebie okrycie i siadła przy kominku, na którym płonął świeżo rozniecony ogień, rzucający jaskrawe blaski na wytworne umeblowanie salonu.

Służący wniósł zapaloną lampę i wyszedł.

Ona czekała... czekała cierpliwie. Serce, gwałtownem, przyspieszonym tętnem biło w jej łonie. Kilka minut upłynęło w ciszy zupełnej. Poczem w przedpokoju rozległ się odgłos dobrze znanych Marcelinie kroków — i do salonu wszedł Kazimierz blade, mizerny, znużony do niepoznania.

— Przeczucie mi mówiło, że dziś cię zobaczę — zawołał, rzucając palto i kapelusz na krzesło.

Ona powstała, podeszła do młodzieńca, położyła swoje śliczne rączki na jego ramionach i pełen miłości wzrok utopiła w jego oblicze.

— Czyś chory? — wyszeptwała tklawie. Oczy masz obwiedzione sinosścią... na głaskiem czołe wystąpiły zmarszczki... w kruczycich włosach twoich wiją się gdzieś niegdzie, jakby srebrne nici... O, ty jesteś cierpiący... i bardzo cierpieć musisz...

Uśmiech, pełen gorzkości, przemknął się po wargach młodego człowieka.

Jakże chcesz, żebym nie cierpiał? Strasznej sceny, nie wydrę z pamięci, Jestem przecie synem sędziego śled-

czego, prowadzącego sprawę. O, do prawdy, dziwna rzecz, że dotąd nie zwaryowałem! I dodał po chwili. — Ojciec mój dziś... jutro... badać mnie będzie, jak już ciebie badał. Zażąda tłumaczenia, dlaczego skłamałem, mówiąc, że dwa dni u was nie bywałem. No, i zmusi mnie może, że wszystko wyśpiewam, że mu wyznam całą prawdę.

— Tyżbyś mnie zdradził? — krzyknęła Marcelina. — Co? powiedziałbyś, że zamordowałam mego męża? Ależ to okropne! Wszakże mnie kochałeś... i kochasz jeszcze. Czy pragniesz mojej zguby? czy chcesz, żebym poszła na Sybir?... Czy nie pamiętasz, że gdybyś mnie był powstrzymał, nie udusiłabym hrabiego? Tobie, nie ośmieliłabym się stawić oporu. Tak, tak... więc zmuszony będziesz także wyznać swemu ojcu, że jesteś moim współnikiem!... Przecież, gdy on... on... dawał się i technienie tracił, nie pochwyciłeś mnie za rękę i nie odepchnąłeś od konającego; a gdy zawołałam: „Przetnij sznur! bo nie chcę śmierci tego człowieka“, ty odpowiedziałeś chłodno i obojętnie: „Już umarł“.

C. d. n.